

Bornholm 2006/2007

Morris & Mindex

29.12 KT19 9JY → STN

Once upon a time... a konkretnie 29.12 (piątek) około 11:30 spakowałem się, schowałem rower w tekturowe pudło i zaczęliśmy podróż. Najpierw szybki tranzyt na lotnisko London Stansted. Wzbudzałem co nieco zainteresowania nie tylko długim szarym pakunkiem zaciągniętym przeze mnie do kolejki, ale głównie krótkimi spodenkami, butami podkutymi cwiekami i lekką bluzką. Coż! W sumie było ciepło – jakaś 6 stopni i padał deszcz, ale to na dworze. Z uwagi na pewne time constraints mojego szofera byłem na lotnisku dobre 2 godziny przed odlotem, ale jak zwykle na samolot czekał prawie komplet pasażerów, więc kolejka zajęła mi 40 minut. Szybki check-in, rower zaciągnąłem na stanowisko bagażu kruchego i nadwymiarowego i już mogłem swobodnie usatwić się w kolejnych kolejkach – bagażu podręcznego, przeszukiwania, przeswietlania butów. Różnica między odprawą w UK a w PL? Oficer (pracownik?) w UK zapytał z uśmiechem na twarzy czy jadę gdzieś w ciepłe miejsce, oficer w PL z nieufnością będzie się dopytywał po co zabieram kask na pokład samolotu. A potem świat perfum, alkoholi, przejściówek do gniazdek elektrycznych, itd. Jak zwykle najbardziej zależało mi na czymś do jedzenia, więc skończyło się na kilku kanapkach. Spokojny spacer do bramki (przyjazd na lotnisko na kilka godzin przed odlotem ma swoje zalety) i oczywiście – kolejka już stoi, chociaż bramka jeszcze zamknięta na trzy spusty. Od razu zrezygnowałem z „łowienia” miejsca przy oknie i stwierdziłem, że skoro i tak prawdopodobnie będę spał w locie to mogę siedzieć gdziekolwiek. Od czasu do czasu dzwoniłem do Mindexa i sprawdzałem jak mu się podrokuje tym samym pociągiem co moi rodzice (coincidence? I call it spying) i wspólny wniosek – wsiadając ostatni do samolotu mogę dokładnie obejrzeć współpasażerów i wybrać miejsce gdzie chce usiąść. No i udało się – wolne miejsce po środku, z przodu samolotu. Zaryzykowałem, zapytałem która godzina i okazało się, że Krysia mieszka w Bournemouth, przyjechała całkiem niedawno – w sierpniu, pracuje w hotelu i generalnie nie narzeka. Była na tyle sympatyczna że na miejscu, w Szczecinie, poczekała aż mój rower wyjedzie na tasmie (ostatni) i pozegnalismy się przed budynkiem.

29.12 STN → Zdroje

Kolejne 30 minut to czytanie komiksu w oczekiwaniu na kolejny tranzyt – Dobka, który odebrał Mindexa z PKP Szczecin i pojechał po mnie na lotnisko Szczecin – Goleniów. Około godziny 17:40 pojawili się na horyzoncie. Po oszacowaniu ładowności białego Forda Escorta zdecydowaliśmy się wypakować mój rower z pudła, wyrzucić go do smietnika i wrzucić do bagażnika, gdzie już grzecznie leżał biały Giant. Generalnie: 4 sakwy, dwa rowery, kierowca i dwie osoby mieszczą się w tym aucie całkiem wygodnie. Następnym przystankiem na naszej drodze było mieszkanie Dobka, Anety i Tygrysa – gdzie udaliśmy się w celu spożycia kolacji, jak również skreślenia mojego roweru w miarę jednolita całość. Po konsultacji z koleżanką Anetą powiedziała nam, że kiedy już dojedziemy do Swinoujścia nie musimy płynąć jakimś promem gdzieś, gdyż terminal znajduje się w części lądowej, co pozwoliło nam zaoszczędzić pół godziny drogi (kiedyś jak się będę spieszył to będę mógł je wykorzystać i będę pół godziny do przodu).

29.12 Zdroje → Swinoujście

Droga jak to droga – same proste połączone zakretami. W samym Swinoujściu już na początku przywitał nas drogowy znak nie na „Prom” tylko konkretnie – na „Ystad”. Przed samym terminalem kolejna niespodzianka: osobny wjazd dla TIRów, osobny dla autobusów, osobny dla samochodów osobowych, osobny dla pasażerów. Poczuliśmy się jak pasażerowie, podjechalismy pod „Dworzec-Port”, wjechalismy rowerami do środka (wielkie pozdro dla konstruktorów automatycznie otwieranych drzwi) i... dowiedzieliśmy się, że jednak jesteśmy zakwalifikowani jako Samochody ☺ W tym momencie pozegnalismy się z Dobkiem (Pozdro pozdro, werbel-hajhed-werbel-stopa) i pełni obaw (nie pamiętaliśmy numeru rezerwacji) podjechalismy pod mały kiosk. Na szczęście północno – zachodnia część naszego kraju jest bliżej Europy i nie stanowiło to żadnego problemu. Dostaliśmy bileciki i polecono nam jechać przed siebie.

29.12/30.12 Swinoujście → Ystad

Rzeczywiście dwa zakrety dalej wjechał prosto na prom, gdzie skierowano nas do.. zwykłego stojaka na rowery. Pełni niedowierzania oglądaliśmy go dobrych kilka minut, po czym stwierdziliśmy, że zdejmujemy sakwy, wypinamy liczniki, światelka, spinamy rowery lancuchem i możemy iść. Spinanie ich spotkało się z pewnymi uśmiechami ze strony „marynarzy”, którzy stwierdzili, że przecież nikt ich nie ukradnie, choć jednocześnie podkreślili, że jeśli cokolwiek się stanie, oni nie będą za to odpowiedzialni. Dlatego też jednak je spielismy i podaliśmy schodami na wyższe pokłady promu. Tam szybkie rozeznanie na tablicy rozeznacyjnej i okazało się, że mamy do dyspozycji dwa pokłady plus night club na najwyższym. Omieliliśmy wzrokiem pierwszy poziom – nic ciekawego, poszliśmy prosto do night clubu – była dyskoteka, dużo kolorowych światełek, nawet barek.. i prawie żadnych gości. I w ten czy inny sposób mijal czas, aż doszło do tego, że w końcu poznaliśmy – Agnieszka mieszka w Malmö i właśnie się wybierała tam do pracy w Sylwestra, a Ola mieszka w Gdańsku i też wybiera się do Malmö do pracy w Sylwestra. I w czasie takich pogaduszek doczekaliśmy 3 bądź też 4 rano i zapadliśmy w sen.

30.12 Ystad → Ronne

Kiedy się obudziliśmy prom już stał w porcie, większość ludzi już wyszła na brzeg. Poszedłem do łazienki przywitać się z nową parą soczewek, a Krzyska przywitała obsługą beznamietnym „wsiada pan?” Ton tego pytania był tak beznamietny, że śmialismy się z tego cały dzień. Ranem było jeszcze ciemno (6:30), więc założyliśmy lampki, włączyliśmy, założyliśmy sakwy i wjechał na ląd. Drogowskazy bezproblemowo zaprowadziły nas do centrum, gdzie przypomnieliśmy sobie, że jesteśmy głodni. Mijany McDonalds oznajmił radośnie, że przed 10 to raczej nas nie ugości, więc stwierdziliśmy, że wszystkie inne jadalnie prawdopodobnie również są zamknięte. Na szczęście dużo Szwedów rozmawia po angielsku, toteż uprzejma pani kasjerka skierowała nas na odpowiedni parking, w rogu którego znajdowała się otwarta kafejka. Podziękowaliśmy za dyrektywę i pojechaliśmy dokładnie w przeciwną stronę, gdyż widoki sprowokowały nas do wyciągnięcia obiektywów i wycelowania ich we wschód słońca nad torami kolejowymi i nabrzeżem. Potem znaleźliśmy kafejkę. Ustawiliśmy się w kolejce do jedzenia i w momencie, kiedy już mieliśmy zamawiać uswiadomiliśmy sobie, że nie posiadamy lokalnej waluty. Mieliśmy PLNy, GBP, EUR ale nic a nic SEKów. No to podjeżdżamy pod bankomat i próbujemy wyliczyć ile potrzebujemy pieniędzy. 1 SEK = 2PLNy no to śniadanie dla dwóch to jakieś 60 SEKów. Wtedy dostaliśmy pierwszą odpowiedź – minimalna kwota wypłaty to 100 SEKów. Nic nam to nie powiedziało, więc wzięliśmy i wróciliśmy do kafejki. Wybraliśmy po bagietkę, bułkę i herbacie i nagle patrzymy na rachunek – 145 SEK! Tak nas ta wiadomość zmasakrowała, że zaczęliśmy się śmiać, i śmiejąc zapytaliśmy o zniżkę, bo wypłaciliśmy tylko stówę – i tak też się stało. Wtedy zrozumieliśmy że nie raz zobaczymy jeszcze ceny z wieloma zerami w tym kraju.

Po śniadaniu zrobiliśmy jeszcze kilka zdjęć i już trzeba było wracać na prom. Tym razem katamaranowy – relacji Ystad – Ronne. Na dzień dobry dowiedzieliśmy się, że z powodu wypadku jaki miał miejsce przed świętami, prom będzie płynął wolniej niż zwykle, przez co podróż zajmie 1h45m zamiast 1h15m. Tym razem rowery nie stały kołem w stojaku, tylko zapakowane bokiem „pod trzepakiem” i przewiazane lina – pan marynarz przewiązał za nas. Na promie nic się nie działo ciekawego. Zarejestrowałem dziwne odpychanie (magnetyczne?) między komórkami, ale wkrótce później zasnąłem. Niecałe dwie godziny później dojechaliśmy do wybrzeża Danii i SPROWADZILIŚMY rowery na ląd (bo jednak trochę się działo). Wyjechaliśmy poza obszar terminalowo/zaladunkowy i pojechaliśmy szukać Informacji Turystycznej (bankomaty, noclegi, rzeczy). Informacja zamknięta. No to szukamy ubikacji – jest w Supermarkecie, ale płatna. No to pytamy o kantor. Kantor był zamknięty z okazji soboty, z tej samej okazji miał być zamknięty w niedzielę. I z okazji nowego roku miał się otworzyć dopiero we czwartek. Więc ustawiliśmy się w kolejce do bankomatu, wypłaciliśmy grubo 1000 DKK i stwierdziliśmy, że nie ma co filozofować. Jest 13:15 i czas przemielić trochę ścieżek. Nie padało, nie wiało, przez chwilę oslepilo nas słońce, no to na kon! Ścieżka z asfaltowej wzdłuż jezdnii szybko skreśliła w gruntową w lesie i zaczęła się właściwa wyprawa. Pojechaliśmy na północ, to jest zachodnim wybrzeżem. Hasła – fotki – las – fotki – fotki – fotki. I jak można się tego było spodziewać – zaczęło padać. W sumie nastawiałem się na deszcz, i wierzyłem że kurtka, buty, wszystko mamy dobrej jakości. Co się okazało – po ponad godzinie deszczu buty, skarpetki, getry były mokre. Rekawice przemokły. Przeciwdeszczowa kurtka była wilgotna od wewnątrz. Liczyliśmy, że w Allinge znajdziemy jakąś knajpę gdzie się ogrzejemy przynajmniej. Tym samym nie dotarliśmy do zamku Hammershus, który znajdował

się może 2-4 km od naszej drogi. Za to znaleźliśmy knajpę, zajęliśmy wszystkie dwa długie kaloryfery i zaczęliśmy reperować morale. Ciepło plus Tuborg/Herbata (nie mieli kawy!) /Czipsy i doszliśmy do siebie. W sumie spędziliśmy ponad 2h w knajpie, większość rzeczy mieliśmy już suche, więc podziękowaliśmy za gościnę i pojechalismy dalej. Dojechalismy do Sandkas-Tejn, czyli mniej więcej między nimi i skręciliśmy na Familiekamping. Co prawda był zamknięty, ale właściciel mieszkał w domu obok. Zaproponowaliśmy mu, że przenocujemy u niego na trawie, zgodził się. Pokazał nam miejsce, otworzył „świetlice”, łazienkę, przeprosił, że zakreślił ciepłą wodę na zimę i poszedł. W świetlicy zjedliśmy obiad/kolację – kanapki, ryby, sok – i zmieniliśmy plan. Byłem za tym, żeby spać w namiocie, ale Mindex namówił mnie na świetlice – teoretycznie o tyle lepiej – że nie wiało. Karimaty, spiwor, spac. Jednak zimna posadzka postanowiła się z nami podrażnić – po jakimś czasie Krzysiek poszedł po rozum do głowy i podłożył sobie pod karimate wełnę mineralną, ja spałem do rana jak zasnałem, ale zmarzłem. Rano – zimno aż ciepło, zwłaszcza po wyjściu ze spiwora. Śniadanie, Ubranie, Pakowanie. Podziękowaliśmy gospodarzowi i dalej w drogę!

31.12/01.01 Sandkas-Tejn → Nexo

Rano wiało, ale nie padało, prawie wszystkie ubrania wciąż były suche, więc zadowoleni z siebie nawielismy dalsze kilometry. Znowu mnóstwo widoków, przystanki co 2 km, żeby zrobić zdjęcie, albo nakreślić kawałek filmu. Droga wzdłuż morza – coś pięknego. Barki, statki, porty, chciałbym mieszkać nad morzem. Wyjechalismy równie późno – po 13, więc dużo jazdy przed sobą nie mieliśmy. Zaplanowaliśmy dotrzeć do Nexo – miało być to być drugie pod względem wielkości miasto na wyspie, więc liczyliśmy na supermarket, restaurację i huczna impreza sylwestrowa. Nieco wcześniej w Gudhjem – obejrzelismy wiatrak, kościółek i przecierając oczy ze zdumienia zobaczyliśmy znaki „zakaz wjazdu dla rowerów”. Dotarłismy do Svaneke – skąd pływają promy na mikroskopijna wyspa znajdująca się na północy – Christianso. I po południu, około 17:30 zawitalismy w Nexo. Stacje benzynowe – automatyczne. Sklepy – pozamykane. Mijani przechodnie (w wieku 17 lat) twierdzili, że o 22 zostanie otwarty NightClub „Hit'en” i tam się będzie coś działo. Ale twierdzili, co później potwierdziła babcia, że wszystko jest teraz zamknięte i nie ma żadnej restauracji/baru/knajpy...NIC!! Ale wszyscy się mylili – znaleźliśmy knajpę portową, zadymioną, gościca marynarzy/rybaków/??? grających w kosci i pijących tuborga za tuborgiem. Też spróbowałem. Krzysiek dostał Cole – napój kolor krowki, smaku karmelowo.. nie wiem ☺. Obowiązkowo czipsy. Czas się strasznie wlokł. O 22 wyjechalismy z powrotem pod lokal, ale wciąż był zamknięty. Chociaż ktoś w środku zaczął się ruszać, zestawiać krzesła ze stolów. Dowiedzieliśmy się, że będzie otwarty, ale dopiero o 23. Dla zabicia czasu znowu objechalismy dworzec PKS, odjechalismy kawałek od miasta, wrociliśmy, pojechalismy na rynek. Na rynku poczułem się jak w Polsce Gromadka 14-latków zaczęła rzucać w nas petardami i generalnie starali się chyba sprowokować do czegoś. Wytrzymałismy ☺ O 23 zajęliśmy miejsca w Hit'en i czekaliśmy rozwoju wypadków. O północy wyszliśmy na ulice, robiąc zdjęcia, krecąc filmy, marznąc. Po pół godziny wrociliśmy do środka, jednak wciąż nie było prawie żadnych klientów. Zaczynamy wierzyć, że na Bornholmie nie ma młodych ludzi, albo są, ale po północy idąc spać. 15 minut później zostaliśmy wyprowadzeni z błędu. Przeniesłismy się na salę z parkietem i patrzyliśmy jak wygląda kwiat młodzieży bornholmskiej – większość wygląda niezłe! Też ruszyliśmy na parkiet, ale z uwagi na wiele czynników – zeszliśmy. Około po 3 zaczęliśmy się zbierać – ubierać. Wyszliśmy przed lokal i oczywiście padało!! I to tak całkiem całkiem. Chcąc przeczekać zaczęli nas różni „koledzy” wychodzący z knajpy i każdy robił wielkie oczy ze zdziwienia jak im powiedzieliśmy czemu jeździmy rowerem i że spimy pod namiotem. W sumie.. też bym się zdziwił, gdyby np. w Lublinie w Sylwestra spotkał bym kogoś kto przyjechał np. z Londynu, żeby tu się pobawić. Anyway, w międzyczasie przestało padać, ale znowu zaczęło, więc trudno, na rower i w drogę – plan: wyjechać poza miasto i gdzieś się rozbić w lesie. Oczywiście nie może być zbyt prosto – wyjechalismy na wylotówkę, wiatr w oczy, deszcz natychmiast się wzmógł, nie było wesoło. Cisniemy mocno na pedały, ale jedziemy może 18-20 km/h. Konczą się latarnie, jest ścieżka w las, szybko zsiadamy z rowerów stawiamy pod drzewem. Jest kawałek w miarę prostej ziemi – wykopujemy szyszki, patyki, krzaczki, rozwijamy namiot, wbijamy szpilki, palaki, tropik. Pod drzewami mniej pada, ładujemy rzeczy do środka, rowery pod tropik, my do środka i.. przestaje padać. Zawsze tak jest. Jemy resztki chleba na kolację (nie było supermarketu, nie było żadnego sklepu otwartego) i zasypiamy. Jest 5 rano.

01.01 Nexø → Ronne

Z uwagi na Sylwestrowa noc pełna przygod pozwoliliśmy sobie spać do 13. Niespiesznie się swygrzebaliliśmy, wysuszaliśmy co się dało na wietrze, zwiniliśmy namiot i posililiśmy się czekoladą. A właściwie jej ostatnimi kawałkami. Tym razem wiedzieliśmy że ściemni się jeszcze szybciej niż zwykle, więc mieliśmy tylko dwa krótkie przystanki – jeden na południowo-wschodniej plaży w Dueodde, a drugi w nieokreślonym miejscu gdzieś w kamieniolomach przy drodze.. a może kamieniolom mijaliśmy innego dnia? Dobre pytanie. Droga równa, miniliśmy Dueodde i zaczęło się. Zaczęło się od deszczu – kropiło, potem padało. Żeby nie przemoczyć ubrań zatrzymaliśmy się przy jakichś letniskowych domkach, schowaliśmy pod daszkiem i poszliśmy szukać nie zakreconego kranu z wodą na zewnątrz. Znaleźliśmy – rozrobiliśmy skondensowany sok – napił się, odczekaliśmy jeszcze chwilę i wsiedliśmy z powrotem na rowery. Zostało nam około 26km do Ronne, ale wtedy się zaczęło. A dokładniej nie „się”, tylko zaczęło WIAC! zaczęło tak mocno wiać, że w 5 minut wywiało ze mnie zapas sił, który normalnie wystarczyłby na trzy razy tyle. Prędkość natychmiastowo spadła do 12 km/h, 10 km/h pod górę. Kiedy na sekundę przestawało wiać, następny niespodziewany podmuch wiatru z boku przestawiał rower prawie o szerokość całego pasa. Do tego wrócił deszcz, było już ciemno i stwierdziliśmy, że lepiej się gdzieś schronić – wybór padł na mały przystanek PKS kilka km przed Pedersker. Zgodziliśmy się, żeby pozostały odcinek przejechać autobusem, jeśli tylko kursował przez tę wioskę (po cichu liczyłem że nie będzie, i że z problemami, ale dojeździemy). Okazuje się, że autobus nie jeździ, ale z sąsiedniego Pedersker mamy już transport. Niech będzie. Też już czuje walekę z wiatrem i chłodem od deszczu, jedziemy.

Po dojechaniu do Pedersker okazuje się, że autobus jest za ponad godzinę. Już nie pada, ale wciąż wieje jak chce. Żeby nie marznąć na przystanku decydujemy się podjechać do Aakirkeby. Wciąż wieje, kilka razy balansując na krawędzi asfaltu, żeby odsunąć się od wyprzedzającego nas samochodu rzuca nas na pobocze, ale ani razu się nie wywracamy. Odległość 5 km do Aakirkeby przejeżdżamy w około pół godziny. W międzyczasie licznik wariuje. Przez ułamek sekundy pokazuje prędkość, potem 0.0 i tak na zmianę. Później przy sprawdzaniu parametrów wskazuje V max 151 km/h. W Aakirkeby okazuje się, że lepiej by było gdybyśmy tutaj spędzali Sylwestra – grill bar obok restauracji, miasteczko tętni życiem, rozświetlone, kolorowe. Mamy autobus za 15 minut, ogrzewamy się w grill barze. Wracamy na przystanek, ale autobusu nie ma. I już nie było w ogóle. Czekamy kolejne pół godziny na następny. Za to znowu suszymy lekko wilgotne rękawice i bluzy w barze. Jemy ogromne hamburgery, pijemy kole, przeglądamy zdjęcia i filmy. Kolejny autobus przyjeżdża sporo spóźniony – 20 minut – ale wrzucamy rowery do środka. I jedziemy. Autobus też jest podatny na wiatr co jakiś czas zjeżdża 30 cm w jedną, to w drugą stronę. Ale dojeżdżamy pod sam Terminal Bornholm Trafikken i wchodzimy do środka.

Jest 22 i prom do Ystad odpłynął pół godziny temu. Teoretycznie to miała być nasza ostatnia noc na wyspie, ale zmieniamy plany – okazuje się że jest jeszcze jeden prom do Koge – płynąc nim jesteśmy rano kilkanaście/dziesiąt km od Kopenhagi, czyli po pierwsze: mamy zapewniony nocleg na promie, po drugie: zwiedzamy stolicę Danii. Tak pomyśleliśmy, tak zrobiliśmy. Kupiliśmy bilety i czekamy na odprawę. Szukam drugiej pary rękawiczek i dochodzę do wniosku, że zostawiłem w autobusie. Mindex idzie się umyć do łazienki i oto co się okazuje: podchodzi do mnie kasjerka Terminala i pyta się: Czy to nasze rowery stoją w korytarzu? Tak. Czy przyjechalismy tu autobusem? Tak. Co zostawiłem w autobusie? Patrzę z niedowierzaniem – skąd ona to wie? Mówię: Rękawiczki. I co jeszcze? pada pytanie. Mówię: Nic. A paszport?! Okazuje się, że rzeczywiście, brakuje też paszportu, który, uwaga, był w zewnętrznej kieszeni torby z aparatem. Ktorej brakuje ☹ I godzinę później w drzwiach pojawia się uprzejma pani kierowca linii.. yy, chyba 6 i oddaje mi zgubę. Zdziwiony opowiadam sytuację Krzyskowi, idę umyć się do łazienki i doczekujemy promu.

Przemilczę podróż promem, ale kolysało.. trzesło bardzo! Nie mam choroby morskiej, ale lepiej się czuję leżąc niż siedząc. Zresztą wszyscy leżeli, nawet pies ☺ Wydaje resztkę DKK na piwo i idę spać.

02.01 Koge → København → Malmö → MMX

Rano około 8 jesteśmy już na lądzie. Kupujemy bilety na kolejke i za 40 minut jesteśmy w Kopenhadze. Pociągi do Malmö kursują co 30 minut, więc jesteśmy spokojni. Nareszcie małe śniadanko.. w McDonalds. Po całych naszych przejazdach tarcze skrzypia mi przy powolnych obrotach koła, ale nie

ma żadnych zniszczeń. Nawet przebitej detki. Dokrecamy pojedyncze srubki, wsiadamy i jedziemy zwiedzać Kopenhagę. reakcja rowerzystów. To że ścieżki rowerowe są wszędzie to już wiedzieliśmy, ale żeby istniała odrębna sygnalizacja świetlna, plus gdzieś trasa dla rowerów na dużych skrzyżowaniach namalowana odrębną farbą to mnie jeszcze zadziwiło. Aha, i pytanie – Jakie światło zapali się na sygnalizacji świetlnej jako następne po żółtym? I odpowiedź: czerwone – są już nieaktualne. Na własne oczy widzieliśmy, tuż przed nami widzieliśmy jak światło z zielonego zmieniło się na żółte, po czym jakiś czujnik wykrył że dojeżdżamy do skrzyżowania, a na kolidującym kierunku nie ma żadnych pojazdów i z powrotem zaświeciło się zielone! W ramach zwiedzania Kopenhagi wyjechaliśmy gdzieś przed siebie i nie potrafiliśmy wrócić. Jednak suma sumarum się udało, zakupiliśmy bilety i wprowadziliśmy rowery do pociągu. Jednym z powodów tejże dodatkowej wizyty w Kopenhadze była obietnica wspaniałych widoków w czasie przejazdu mostem Kopenhaga – Malmö. Most był ładny, ale jednak chce tam wrócić samochodem / motocyklem w słońcu a nie pociągiem, który ma brudne szyby i jedzie poziom niżej niż jezdnia dla samochodów. Dwie wyspy później jesteśmy już w Malmö. Bardzo ciepło – ok. 12 stopni, trochę więcej, nic takiego. W Informacji Turystycznej dowiadujemy się o adresy sklepów rowerowych celem zdobycia budulca na opakowanie dla roweru. Dostajemy mapkę i 3 adresy i powoli wyruszamy z misją. Misja prosta – bierzemy karton ze sklepu, odkrecamy pedały, skrecamy kierownice, zdejmujemy koło, zaklejamy taśmą, nadajemy, lecimy (loty do WAW i STN o 18:30 i 22:30 respectively) W pierwszym sklepie nie mogą nam pomóc, w drugim też nie, nie rozumiemy tego, co oni zjadają te kartony? Wchodzimy do sklepów meblowych też – porażka, co większy to mniej może pomóc. W końcu udaje nam się zdobyć trochę folii bąbelkowej i trochę mniejszych kartonów. Czas powoli się kurczy, z bungee strapa robimy pętle na ramie i Mindex zarzuca sobie wielkie kartony na plecy.. więcej ciągle mocno, więc po chwili mamy rower z zagiętym. Ludzie oglądają się z lekkim uśmiechem, zjeżdżamy na jezdnię, zajmujemy cały pas, ale cisniemy. Zagięty coś chwile zsuwa się na przedramię i ociera o przednią oponę. Nie ma czasu poprawiać. Dojeżdżamy na dworzec, po około 20 minutach siedzimy w autokarze, rowery i materiały pakunkowe pod podłogą. Mamy czas... Na lotnisku okazuje się, że w sumie nic nie trzeba pakować!!! Krzysiek odkrecza pedały, skrecza kierownice, spuszcza powietrze gotowe. W tej sytuacji ja owijam tylko folią bąbelkową, a tony kartonu ładują na smietnik. O 18 krótkie pożegnanie, potem zostaje już tylko ja, mój lot dopiero za 4 godziny.....